



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2 1/2 na Szpital Dziecinniey.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinniey. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Treść. Kto najszczęśliwszy? (wiersz) Jaskółki.—Mały a pożyteczny, powiastka, przez Anastazją Dzieluszycką (drzeworyt).—J. I. Kraszewski, przez Adama Pługa (ciąg dalszy).—Przygody młodego podróżnika w Tatrach, M. J. Zaleskiej (ciąg dalszy) (drzeworyt).—Kalendarzyk, A. z Ch. Borkowskiej.—Anagram.—Zagadnienie naukowe.—Rodzeństwo (do przerysowania).—W dodatku Historia Biblijna, Z. Zajączkowskiej (ciąg dalszy).



do Ostrowska 20

Mały a pożyteczny.

KTO NAJSZCZĘŚLIWSZY?

Kto najszczęśliwszy na świecie?

Raz Kazio zapytał matki;
Czy ten, co jeździ w karecie
I co ma wielkie dostatki?
Czy jaki wojak odważny,
Co bitwy wygrywa krwawe,
Czy jaki mędrzec poważny,
Co pracą zdobywa sławę?
A może wieśniak na roli,
Co zagon ojców swych orze,
A może—mamo—a może
Ten, kogo serce nie boli?"

.....
Nie, synu—matka odpowie:
Nie ten, co bogactw jest syty,
Ani ten, kogo ziomkowie
Głośnieńmi darzą zaszczyty;
I nie ów, drogie me dziecię,
Kogo omija cierpienie...
Lecz najszczęśliwszy na świecie
Ten, kto ma czyste sumienie!

Jaskółka.

MAŁY A POŻYTECZNY.

POWIASTKA,

przez

Anastazyą Dzieduszycką.

Państwo Bielscy mieli tylko jednego syna, Stasia; był to dobry, posłuszny, pracowity chłopaczek. Rodzice jego mieszkali w mieście; nie bogaci, mieli jednak trochę pieniędzy złożonych u bankiera i żyli skromnie i wygodnie z wypłacanego im procentu. Ojciec Stasia słabego był zdrowia, w domu też większą część czasu przepędzał, czytając książki rozumne, pisząc nowe i pomagając ukochanemu Stasiowi w nauce; to też Staś ojca swego kochał równie jak matkę i największą dlań było przyjemnością i nagrodą za grzeczność, gdy go ojciec do swego zawołał pokoju, książki mu swe pokazywał, obrazki tłómaczył. Raz siedział właśnie przy ojcu w jego pokoju

i przeglądał jakiś opis podróży do Azji z wielu bardzo pięknymi obrazkami i wypytywał ciekawie o ich znaczenie:

„Ojczulku” rzekł, „nad takimi książkami siedziałbym dzień cały; tyle w nich rzeczy ciekawych, co chwila dowiaduję się z nich czegoś nowego; a przy lekeyi, ojczulku, to się nieraz bardzo, bardzo nudzę!”

„Cóż cię tak nudzi, moje dziecko?” zapytał ojciec.

„O, naprzykład pisanie! Co dzień godzinę siedzieć i bazgrać i uważać, żeby litery były równe, nie koszlawe; a tu jak no toż b za szerokie, z stoi jak patyk, kleks wlezie na k i znów przepisywać potrzeba, a ta pisanina niezego mnie przecież nie uczy, choć najbardziej męczy.”

„Mój synu, ten pan, który jeździł do Azji, nie byłby nas obdarzył tak piękną i ciekawą książką, gdyby dobrze, szybko i wyraźnie pisać nie umiał. Pomyśl tylko; podróż jego była bardzo męcząca; nieraz, po całodziennym jeździe wśród skwaru i pyłu, ledwie wieczorem, gdy jego towarzysze do snu się ułożyli, spragnieni spoczynku, on czémprędzej spisywał to wszystko, co ciekawego w ciągu dnia zobaczył. Gdyby nie pisał prędko i wyraźnie, nie mógłby był tego zrobić.”

„Prawda, ojczulku, a jednak to rzecz taka nudna i trudna, że już chciałem prosić ojca, żeby mi pozwolił nie uczyć się kaligrafii.”

„Na to, drogie dziecię, pozwolić nie mogę, ale wiészże Stasiu, dla czego pisanie jest tak trudne dla ciebie? Oto dotąd myślałeś, że jest niepożyteczne i nie pisałeś chętnie i uważnie; dziś wiész, że bardzo potrzebne. Powiem ci więcej jeszcze: lekarze mówią, że mają mnie wysłać do wód na wiosnę, będę daleko od ciebie, od mamy; chciałbym, abys do mnie pisywał; sądzę więc, że ile razy usiądziesz do pisania, będziesz się starał dobrze pisać, złamać wszystkie trudności, całej swój woli użyjesz na to, a wkrótce tak wyraźnie pisać będziesz, że ci lekeye pisania nie będą potrzebne.”

„Dobrze, ojczulku, dobrze,” rzekł Staś, całując rękę ojca smutnie, bo mu przykrą była myśl, że ojciec na wiosnę wyjedzie.

„Spróbuj, mój chłopcze,” rzekł ojciec, przyeiskając go do piersi, a i pisać się nauczysz i dasz mi dowód, że masz wolę; a chłop-

czyk dopiero wtedy jest człowiekiem, gdy umie zmusić się do pracowitości, łagodności i posłuszeństwa."

Kilka miesięcy ubiegło; ojciec Stasia ani razu go nie zapytał, jak idą lekcye pisania. W Czerweu lekarze kazali mu jechać do wód, był on zawsze chory; wyjeżdżając uściśkał Stasia serdecznie, położył krzyż na jego czole, mówiąc: „Stasiu, za tydzień oczekiwać będę listu od ciebie."

Stas nie mógł odpowiedzieć, bo mu łyzy rzeczne mowę przerwały; pierwszy raz w życiu rozłączał się z ojcem na kilka miesięcy i z ojcem chorym i bladym. Ale słowa ojca go nie zastraszyły, bo przez te kilka miesięcy Stas pilnie pracował i wiedział, że wyraźnie list napisać potrafi.

To też w miesiąc potem, listonosz, wszedłszy o zwykłej godzinie do mieszkania p. Bielskiej, rzekł podnosząc list do góry: „List do panicza!" Stas poskoczył żwawo, pochwyił list z rąk listonosza, rozerwał kopertę i czytał:

„Dziękuję ci, mój dobry Stasiu, za twój list pocziwy; te litery takie równe i kształtne przekonały mnie, że Stas mię kocha, że Stas umie zmusić się do zrobienia tego, czego nie lubi, gdy to dobre i pożyteczne, że Stas ma wolę, że Stas zaczyna być człowiekiem. Kiedy już masz wolę i umiesz ję użyć, nie zaniebuj ję, Stasiu. Co miesiąc, dajmy na to, usiądź w kąci i pomyśl, co jeszcze źle robisz, co mógłbyś lepiej robić i cały miesiąc myśl tylko o tém, aby się pozbyć jakiej wady, aby być lepszym, a będzie z ciebie kiedyś człowiek. Wody tutejsze niesmaczne, ale bardzo mi służą; wkrótce wrócę do was, moi najdrożsi. Całuję cię i błogosławię, mój synu."

Stas nie posiadał się z radości, skakał, śmiał się, matkę całował, list ojca czytał i odczytywał ciągle; a gdy się cokolwiek uspokoił, powiedział sobie po cichu, że robi tak, jak mu ojciec radzi. I zaraz usiadł w kąci i zaczął się sam siebie pytać, co jeszcze źle robi; i pokazało się, że nieraz jest uparty, że często bawi się, gdy uczyć się trzeba, a w ostatniej chwili przed lekcją chwyta książkę i nie dość dobrze umie lekcją, i wiele innych rzeczy.... boć Stas był dzieckiem i miał swoje wady.

Ojciec wrócił, ale niestety wcale nie był zdrow; nie cierpiał, nie go nie bolało, lecz nie

miał siły, zaledwie przez pokój mógł przejść, lekarze mówili, że choroba nie straszna, że jednak długo potrwać może. Stas usługiwał ojcu, zabawiał go swoją rozmową wesołą i żwawą, gdy tylko powrócił ze szkoły, do której go właśnie ojciec posyłać zaczął.

Jednego dnia Stas, wróciwszy ze szkoły, zastał rodziców smutnych jakichś, ponieszanych.

„Czy ojciec chory?" zapytał niespokojnie, całując go w rękę.

„Nie, Stachu" odrzekł pan Bielski. „Mama i ja mamy znartwienie, a że już nie jesteś dzieckiem, musimy się niem z tobą podzielić. Wiiesz, że nigdy nie byliśmy bogaci, żyliśmy jednak spokojnie z procentu od naszego kapitaliku, z tego co mi za moje pisma płacą. Teraz jesteśmy biedni, kapitalik nasz stracony, może kiedyś go odzyskamy, ale tymczasem będziemy musieli żyć z tego, co mi za moje artykuły do gazet zapłacą, a to niewiele. Mama chce mi dopomódz; wiesz, jak pięknie śpiewa, będzie dawała lekcye śpiewu i może Bóg da, że chleba nam nie zabraknie. A i ty, Stasiu, możesz nam pomódz; szanuj swoje odzienie, nie plam go, nie drzyj, miej staranie o książkach, myśl ciągle o tém, że każda rzecz, której używasz, czapeczka, książka, zeszyt, kosztowały twoich rodziców niejedną godzinę pracy; zresztą ucz się dobrze, żebyś prędko mógł sam na swe potrzeby zarabiać; wtedy, jeżeli Bóg mi żyć pozwoli, moja praca potrafi nas z mamą utrzymać, a ona odpocznie cokolwiek."

„O dobrze, dobrze, ojezulku," zawołał Stas, ucałował ręce rodziców i jakby natychmiast chciał obietnicę spełnić, siadł nad książką. Ale w tej chwili chociaż patrzył w książkę, nie myślał wcale o nauce; obiecywał sobie w duchu, że wybornie uczyć się będzie, że odzienia nie podrze przez swawolę, zeszytu nie splami, ale cóż z tego, z sukni wyrośnie przecież, zeszyt zapisze, nowy potrzeba będzie kupić i mama biedna będzie ciężiej pracować. Gdybyż umiał przynajmniej tyle pieniędzy zarobić, żeby suknie sobie sam mógł sprawiać. Cały wieczór myśl ta dręczyła Stasia, w nocy śniło mu się, że jest już duży, że jest doktorem, że zarabia wiele pieniędzy i przynosi je rodzicom; a oni już nie pracują i odpoczywają

w ładniutkim domeczku i ciągle dobrego syna błogosławią. Gdy się obudził Staś, westchnął przekonawszy się, że to mu się tylko śniło, ubrał się szybko, pobiegł do szkoły, słuchał pilnie nauczyciela, ale pomiędzy lekcją a lekcją siedział smutny na ławce.

„Stachu, Stachu, co ci to?“ pytali mali koledzy, którzy go serdecznie kochali, bo Staś był zwykle wesół, swawolny, ale psot i przykrości nigdy nie robił. Opowiedział im Staś swoją bięde: „O, żebym był starszy i rozumniejszy, wyrzekł niecierpliwie, a tak nie zrobić nie umiem.“ Wszedł drugi nauczyciel, trzeba było przerwać rozmowę. Ale po lekcji, Janek, jeden z najlepszych znajomych Stasia, rzekł mu: „Więsz co, mam dobrą myśl: Mama szuka nauczyciela do naszego małego Józia. Mama zajęta, niema czasu uczyć go abecadła, a mój stryjaszek, profesor, potrzebuje kogoś, coby mu na czysto przepisywał, to co on spiesznie bazgrze; ty tak ładnie i równo piszesz, a w abecadle przecież się nie pomylisz.“

„Dziękuję ci, Janku, wyborna myśl; spytaj się dziś jeszcze swęj mamy, swojego stryjaszka, pokaż mu mój zeszyt, dobrze? jutro mi powieśz czy na to przystają.“

„Dobrze, dobrze, Stachu,“ i uściskali się pocziwe chłopaki.

Na drugi dzień dowiedział się Stach w klasie, że matka Janka wzywa go na nauczyciela do Józia pieszczocha, a stryjaszek ma mnóstwo arkuszy do przepisywania. Uradowany Stach ze szkoły biegł prawie do domu i nieśmiało zamiary swe rodzicom opowiedział. Rodzicom łyzy się w oczach zakręciły, łyzy radości, że mają tak pocziwe dziecko; uściskali go, a ojciec mu rzekł: „Dobrze Stasiu, od jutra zacznij swoje zajęcia; pozwalam ci pół godziny co dzień uczyć Józia, godzinę przepisywać.“ „Ojczu, jabym mógł więcej zrobić.“ „Nie, dziecko, zły to koń, co cię z miejsca zrywa, i pędzi, aby potem w pierwszym błocie stanąć; gdybyś więcej czasu na swe nowe zajęcia obracał, musiałbyś albo naukę zaniedbać, albo zdrowie nadweryżyć.“

Dwa miesiące pracował tak Staś; nieraz niecierpliwł go mały Józio, nieraz żał mu było godziny, którą nad przepisywaniem stra-

wić musiał, gdy koledzy biegali i bawili się ochoczo, ale umiał zwyciężyć niecierpliwosć i lenistwo, ani razu nie opuścił lekcji z mazgajowatyn Józiem, i co dzień arkusz czysto przepisany stryjaszkowi Janka odnosił. To też co miesiąc zarabiał 4 ruble i matce je przynosił. Gdy drugie 4 ruble przy ojcu jej oddawał, zawołał go ojciec, pocałował w czoło i rzekł mu:

„Dość tego, Stasiu, więcej tak pracować nie będziesz; wiosna się zbliża, trzeba ci więcej ruchu i świeżego powietrza; napisałem już o tęp do matki Janka, tobie zaś teraz dopiero dziękuję za to, co dla nas robięś. Kiedy temu dwa miesiące powiedziałeś mi, że chcesz tak dla nas pracować, myślałem, że masz dobre serce i dobre chęci, niewiedziałem, czy masz wolę i wytrwałość zrobienia tego, co rozpoczęłaś. Dziś już wiem, że jesteś pracowity i wytrwały; wierz mi, Stasiu, że radość, jaką nam swęm postępowaniem sprawiłeś, tyle nam zdrowia dodała, że go nam godzina pracy nie ujmie.“

„Ale, ojezulku, to mama znów więcej pracować będzie?“

„Nie, dziecię; interesa nasze poprawiły się cokolwiek. Więsz, Stachu, my cię tak kochamy, tak pewni jesteśmy twego przywiązania, że gdyby nam za ciężko było, powiedzielibyśmy ci: „Stachu, pomóż nam!“

„O dobrze, dobrze, ojezulku, tylko czy pewnie mi to powiecie?“

„Pewnie, moje dziecko.“

I Staś uczył się już tylko, uczył wybornie, a po skończonej nauce biegał wesoło—bo był zadowolony z siebie.

Teraz Staś ma już lat 18. Raz siedział wieczorem przy ojcu i czytał mu gazety; po skończonym czytaniu, zaczęli o różnych rzeczach rozmawiać.

„Stasiu,“ rzekł ojciec, „powieśz mi, kiedy byleś najszczęśliwszy, będąc dzieckiem?“

„Dwa razy, ojczu; kiedy od ciebie list z Karlsbadu odebrałem i kiedy matce po raz pierwszy przyniosłem pieniądze zapracowane.“

„Wierzę ci,“ rzekł ojciec, „bo pierwszym razem mówiło ci sumienie, że umiałeś zmusić się do pracowitości; drugim razem uczuleś, że możesz sobie wystarczyć i rodzicom ulgę zro-



Rodzeństwo. (do przerysowania).

bić. A wiesz, Stasiu, gdybyś był nie zwyciężył swego lenistwa do pisania, gdybyś dalej był kulfony stawiał, pewnieby ci stryjasek Janka nie dał przepisywać swoich rękopisów i pomimo najlepszych chęci, nie mógłbyś być nie zarobić.“

„Prawda, ojcze,“ odparł Staś i uściskali się serdecznie. „Jeszcze kilka lat, drogi ojcze, a już ja tylko pracować będę za was oboje.“

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI,

przez

Adama Pługa.

(Ciąg dalszy).

Cóż to za szczęście było dla młodzieńca, z takim usposobieniem serca i umysłu, jakim odznaczał się Kraszewski, ujrzeć się w Wilnie, w tym Wilnie, które miało tak świetną przeszłość historyczną, w którym po

niej tak wiele pozostało jeszcze zabytków, w którym było tyle bibliotek, archiwów, tyle księgarń i drukarni, i ten uniwersytet, taki jeszcze sławny podówczas, dzięki świeżej pamięci zarówno profesorów swych znakomitych, jako też i wychowawców, co się nieśmiertelną chwałą okrywszy z genialnym Mickiewiczem na czele, samo już miano akademika wileńskiego zamienili w tytuł zaszczytny i szczególniejszym otoczyli urokiem.

To też nie dziwy, że dla dostąpienia takiego szczęścia, dla zdobycia tytułu tego, w owe czasy nie jeden zdolny a ubogi młodzieniec, co przebył szkoły, w niższych klasach służąc paniczom, a w wyższych utrzymując się z korepetycyi, później o kilku rublach, o kawałku suchego chleba, nieraz piechotą, niby pielgrzym do cudownego miejsca, szedł z daleka do Wilna, aby tam o chłodzie i głodzie, walcząc z biedą najcięższą, wytrzymałością żelazną w pracy osiąść wyższą naukę, a przez nią znaczne stanowisko na świecie i pole do zasługi społecznej.

Kraszewskiemu łatwiej to szczęście przyszło, rodzice jego bowiem mieli wioskę dziedziczną i byli dość zamożni; nie mniej jednak umiał je cenić, był niemi upojony prawie do szału i z radości się nie posiadał. Kiedyś, czytając jego dzieła, jak np. „Pamiętniki Nieznajomego“, „Metamorfozy“, „Powieść bez tytułu“, „Wędrowki umysłowe“, „Obrazy z życia i podróży“, — będziecie się mogli dowiedzieć, jakim podówczas było życie akademickie i poznać w niemi Kraszewskiego; tu zaś przytoczę jeden tylko wyjątek z „Powieści bez tytułu“, żeby dać wam pojęcie o wrażeniu, jakiego doznał po przybyciu do Wilna:

„Pierwsze dni były pełne zajęć i zachwytu. Jak gdyby się obawiał, żeby mu wszystko nie puciekowało, obejrzcć chciał razem całe Wilno, pamiątki jego, okolice i osobliwości. Poleciał z kolegami drapać się na Górę Zamkową, do sterczących zwalisk Górnego Zamku, do Katedry, na grób nieznanym Witolda, na Bekieszówkę, po nad Wilią do gruzów pałacu Barbary, do Ostrzej Bramy... Obiegał kościoły, zachwycał się uroczemi wieżami tego grodu, którego każda piędź ziemi przesiąknęła tysiącami pamiątek. Głowa mu się paliła na

samą myśl, że depece pobożowisko, przez które przeszło tyle wicków, bohaterów, ludów, zapału i poświęceń. Nie było czasu, żeby odetchnąć, bo z jednej strony wpisy, rozpoczynające się prelekcye, z drugiej — porywające życie akademickie, tysiączne pokusy i roztrągnięcia, ogarniały go, chwytając myśl, serce, przytomność, wprawiając w rodzaj rozkosznej gorączki.”

Powoli jednak ochłonawszy z tych gorączkowych wrażeń, zabrał się z zapalem do pracy. Zapisał się na wydział literacki, najzdolniejszy z przyrodzonym jego usposobieniem; ale nie poprzestając na tém, cheiwy wiedzy i rozmiłowany w nauce, uczęszczał także na wykłady wydziału lekarskiego:—w domu zaś wszystkie chwile, wolne od pracy naukowej, koniecznej, poświęcał albo na badanie przeszłości, pilnie się rozczytując w kronikach starych i archiwach, albo na studyowanie dawnych polskich pisarzy; już wtedy bowiem za poradą babki swej, Małskiej, zamysłał pisać historią miasta Wilna, a nie zaniechał również Świsłockiego swego projektu co do historii języka. Jednak i to jeszcze nie wszystko: obok tylu prac różnorodnych, z których się każdej całym sercem oddawał, znajdował jeszcze dosyć czasu na uczenie się języka hebrajskiego i arabskiego, a nawet był się zabrał do skrócenia w polskim przekładzie z francuzkiego gramatyki arabskiej.

Ażeby dać wam jeszcze dokładniejsze pojęcie o tym zapale, z jakim się Kraszewski rwał do nauki, i o tém, jakie o niej miał zdanie w wieku jeszcze tak młodocianym, przytoczę tu wyjątek z jego listu do ojca, pisanego przed samemi wakacjami 1830 roku, to jest, gdy miał ledwie lat ośmnaście.

„Pan Hołówko powiada, że mnie sedenterya wychudziła i wybledziła; ja toż samo utrzymuję, ile razy spojrzę w zwierciadło: ale wszystko, co ciało piękniejsza, niknie przed naukami i umysłowym posiłkiem. My żyjemy w ciele, jak ślimak w skorupie, a dusza nasza i umysł jest wszystkim. Tento dopiero rok, kiedy mi raz pierwszy w życiu bogate języków i nauk otworzył skarby, obudził we mnie nieznanym zapałem do nauki. Czuję, że jęj moje życie poświęcę i dla niej jestem stworzony. Jeżeli kto na świecie się nudzi,

niech się uczy, a uzna, że jedna tylko nauka i praca umysłowa może człowieka uszczęśliwić."

W inném zaś miejscu, w „Pamiętnikach nieznanego,” które osnuł na tle własnego życia uniwersyteckiego w Wilnie, tak pisze w osobie bohatera onych *Pamiętników* do matki:

„O moja matuniu! skarby drogie są w nauce! nie myślę, bym je miał zaniedbywać, nie lękaj się także, bym Boga z oczu stracił. Nauczyłaś mnie widzieć Go wszędzie, szukać Go zawsze, i obejść się teraz bez niego nie mogę. Nie myśl, bym dla poezyi naukę rzucił. Nauka dostarcza materyału poecie, ona mu szerokie roztwiera pole, jasno ukazuje przestrzenie. Niema nauki suchej... Nie, poezya nie wyłącza nauki, owszem obejść się bez niej nie może. A kto ją ma w sercu, temu przesiąknie wszystko poezyą, jak soki ziemi, przechodząc łodygę róży, w jej się zapach zmieniają, jak w pszczołce pokarm miodem się staje i woskiem."

Zaznaczcież sobie te wyrazy w pamięci i weźcie je głęboko do serca; a jeżeli jest ktoś taki pomiędzy wami, komu zwykła nawet szkolna nauka wydaje się straszném brzemieniem, kto ją przyjmuje tylko z musu, z konieczności nieuniknionej, i nadtém jedynie przemyśliwa, jakby ją zamknąć w najciaśniejszym zakresie; kto do niej o tyle się ledwie przykłada, o ile przez nią może sobie chlebo-dajny zawód otworzyć, ten niech przypomni, że Kraszewski uważał ją za najwyższy cel życia swego i za najpewniejszą rękojmią szczęścia; że się jej całą duszą oddając i pragnąc coraz więcej, nie myślał zgoła o korzyściach materyalnych, jakie zarazem przynieść mu mogła; że miłował ją i gonił za nią jedynie dla niej samej, dla tych skarbów duchowych, jakie ona w sobie zawiera, dla rozkoszy, jakie z niej płyną; że nią zasiliwszy talent wrodzony, urosł duchem na takiego mocarza, iż oto już pół wieku nad sercem i unysem całego społeczeństwa swego panuje i nosi na swém czole takie wawrzyny, jakimi przed nim nie wieńczono jeszcze nikogo, odbiera takie hołdy, jakich dotychczas nikt nie zaznał w podobnej mierze.

(d. c. n.)

PRZYGODY MŁODEGO PODRÓŻNIKA W TATRACH.

z dziennika Kazia przepisała

M. J. Zaleska.

(*Ciąg dalszy*).

Dla Jadwisi ta podróż, to gratka nie lada; ona zawzięcie się uczy botaniki i ciągle jakieś kwiatki i ziółka zasusza. Jedna z jej przyjaciółek, która przeszłego roku jeździła z rodzicami do Szczawnicy, przywiozła ztamtąd jakiś osobliwy kwiatek górski. Pamiętam ja to dobrze, bo miałem z tego powodu porządną pracę z pannami. Moja siostrunia zaczęła się popisować swojemi botanicznemi wiadomościami, opowiadała, jakie to piękne kwiaty rosną na wysokich górach, wyliczała nawet różne łacińskie nazwy i muszę jej oddać tę sprawiedliwość, że wymawiała je wcale nieźle, ale jak zapytałem, do której deklinacji należy *orchis*, a do której *gentiana*, moje panny, ani rusz. Prawda, że i one mi zaraz odpląciły pięknem za nadobne. Jadwisia wyniosła swój zielnik i kazała mi poznawać, który to kwiatek nazywa się *orchis*, a który *gentiana*, a ja także ani mru mru, chociaż obie te nazwy umiałem przedeklinować. Chciałem ja to w żart obrócić i zacząłem dowodzić, że takie tam jakieś ziółko, to przecież drobnostka w porównaniu do gramatyki łacińskiej; ale moja panna siostra nie w ciemię bita, zaraz też wystąpiła z takim argumentem, że ziółko Pan Bóg stworzył, a nazwę ludzie wymyśliłi, równie jak gramatykę, a zatem ziółko więcej musi znaczyć od nazwy, ba! nawet więcej od gramatyki. Potem dodała z poważną miną, jak gdyby z książki czytała:

— Człowiek powinien poznawać otaczający go świat, ażeby mógł wielbić Boga w dziełach jego.

I co tu na to odpowiedzieć? to też w prawdziwym byłem kłopotcie, chociaż swoją drogą nie mogłem uwierzyć, żeby ta gramatyka, ta łacina, nie miała być także potrzebna, bo pocóżby w szkołach niepotrzebnych rzeczy uczyć? Szczęściem wszedł na to ojciec, a usłysawszy, o co idzie, uratował mój honor i nie

dopuszczył, ażeby panienki mnie w kąć zapędziły. Pamiętam doskonale, co ojciec nam powiedział i muszę to sobie zapisać, żeby nie zapomnieć na drugi raz.

Nie przeczę, mówił ojciec, że znajomość przyrody i zadziwiających jej zjawisk jest rzeczą piękną i pożyteczną. Wielbimy mądrość Stwórcy, przypatrując się, jak ziółko wzrasta, kwiat się rozwija, jak mrówki skrzętnie pracują w mrówisku, ale wszak najprzedniejszym dziełem Bożem jest człowiek, który otrzymał przywilej jedyny, dar najcenniejszy, mowę. Tę mowę winniśmy zatem szanować i kształcić starannie; ona nas głównie od zwierząt wyróżnia, za jej pośrednictwem człowiek jest w stanie swoją naukę, wszystkie dzieła umysłu swojego, przekazać drugim ludziom i to nie tylko współczesnym, ale nawet najodleglejszym pokoleniom. Tym sposobem każdy pomysł rozumny pojedynczego człowieka może przetrwać wieki, a ludzkość ciągle postępuje, doskonali się, korzystając z doświadczenia dawniejszych pokoleń. Mowa pisana największe ma pod tym względem znaczenie, gdyż ustne podania łatwo idą w niepamięć. Ale mowa zmienia się z czasem, tak, że jedne języki wychodzą całkiem z użycia, zamierają, a na ich miejsce nastają inne, odmienne. Muszą więc ludzie te dawne, martwe języki przechowywać, uczyć się ich, ażeby wraz z nimi nie zaginęła nauka i wiadomości nagromadzone przez dawniejsze narody; uczą się przytém i własną swoją mowę kształcić umiejętniej, przypatrując się budowie starożytnych języków. Słowo Boże w księgach świętych przetrwało wieki i pozostało niewzruszone, chociaż mowa, w której pierwotnie było zapisane, oddawna zamarła. Historycy dzisiejsi nie mogliby czerpać z odwiecznych pisanych zabytków i kreslić dokładnych dziejów rodu ludzkiego, gdyby języków starożytnych nie znali.

Ale ja się tu zagadałem—i o czém, mój Boże! o łacinie w czasie wakacyj. Dosyć tego dobrego, teraz pora myśleć o podróży. Mama już zaczyna układać i pakować rzeczy, Jadwisia jej pomaga, a wszędzie, gdzie tylko może, wtyka arkusze bibuły do zasuszania swoich kwiatów. Zabiera także jakieś książki botaniczne, jakieś klucze do poznawania i kla-

syfikowania roślin. Trzeba to będzie rozpastrzeć wolnym czasem.

II.

Od kilku dni jesteśmy w Krakowie. Mój Boże, jakże to przyjemnie zobaczyć na własne oczy te wszystkie starożytne pamiątki, o których się tyle nasłuchiwało, tyle naczytało. Tak doskonale znałem cały Kraków z opisów i rycin, że znaczniejsze gmachy sam rozpoznawałem od razu, nim jeszcze ojciec je nazwał. Zwiedziliśmy zamek na Wawelu, katedrę i groby królów; byliśmy w kościele Panny Maryi na uroczystym nabożeństwie i widzieliśmy w wielkim ołtarzu arcydzieło Wita Stwosza. Potém oglądaliśmy inne znaczniejsze kościoły, pojechaliliśmy za miasto na mogiłę Kościuszki, ale nie będę tego wszystkiego szczegółowo opisywał, bo pewny jestem, że każdy z moich kolegów i przyjaciół, dla których ten dzienniczek przeznaczam, chociażby dotąd nie był w Krakowie, zawsze z opisów i rycin znać go musi tak dobrze, jak i ja przed swoją podróżą, nie dowiedziałby się więc nic nowego odemnie. Zresztą w Krakowie tyle jest ciekawych rzeczy do widzenia, że gdybym chciał dokładnie opowiedzieć wszystko, co tu w ciągu kilku dni oglądałem, musiałbym dużo papieru zapisać, a chociaż na wszelki wypadek przygotowałem sobie spory zeszyt, możeby mi jednak miejsca zabrakło później na opisy gór i wycieczek, które tam mam odbywać, a spodziewam się, że będę miał co opowiadać.

Jutro o świcie wyjeżdżamy, już mamy najętą furmankę. Dziś po obiedzie mama z Jadwisią miały jakieś sprawunki do załatwienia, a my z ojcem poszliśmy na Kleparz. Jest to przedmieście Krakowa, ale tak niedaleko od środka miasta położone, że wyszedłszy z hotelu, dostaliśmy się tam w dzie sięć minut najwyżej.

— Patrz, Kaziu, powiedział ojciec, co tam wózków góralskich; znajdziemy z pewnością furmankę.

Na placu stało kilkanaście wozów z ogromnemi budami płóciennemi; obok uwijali się górale. Poznałem ich od razu po stroju, który także nieraz na rysunkach widziałem; ci

druciarze, co to u nas w Warszawie tak zabawnie wołają: garnki drutować! rondle pobielać! podobnie się ubierają. Ojciec opatrywał wozy i targował się z woźnicami, a ja tymczasem rozmawiałem z młodym parobczakiem góralskim, który mnie pierwszy zagadnął, gdzie jedziemy i czy dużo mamy pakunków? Ja znów zacząłem oglądać z bliska jego strój, ładniejszy i czystszy, niż u druciarzy. Dziwne miał ten chłopak obuwie; prosty kawałek skóry, zaokrąglony i ściągnięty na nodze rzemykiem. Powiedział mi, że u nich rzadko kto nosi buty, bo w takich *kierpcach*, jak on to nazywa, daleko wygodniej chodzić po górach. Wygodny też jest cały ten ubiór, złożony z obcisłych spodni i krótkiej sukmanki, *huni*, z białego grubego sukna, a wszystko to wyszywane kolorowemi sznurkami i tasiemkami. Do tego kapelusz czarny filcowy z szerokim rondem, opasany tasiemeczką naszytą gęsto małemi białemi muszelkami, *kostkami*, jak on powiada. Ale co mię niezmiernie zadziwiło, chłopak ten miał oprócz tego na sobie kożuszek obcisły, króciutenki, bez rękawów, nakształt kamizelki, ozdobniej jeszcze wyszywany, niż hunia. Patrząc na innych góralskich, spostrzegłem, że wszyscy mieli także same kożuszki, po większej części do góry włosem obrócone.

— Jak też to można w kożuch się ubierać wśród lata i w taki upał? zapytałem.

— To *serdak*, odpowiedział chłopak z uśmiechem; poco go mam zdejmować? U nas ta nigdy w górach niema wielkiego gorąca, i panowie, co do nas przyjeżdżają, także se kupują serdaki.

Zdziwiło mnie to jeszcze więcej.

— Jaktó, zawołałem, czyż to u was ciągle jest zimno, nawet wśród lata?

— Zimno, nie zimno, odpowiedział kręcąc głową; jak słońko przygrzeje, ciepło bywa i pięknie, ino w cieniu nie bardzo gorąco. Ale jak zacznie się psota, co to tak leje ta leje, że końca temu niema, to czasem i jedna i druga niedziela minie, zanim człek słońko Boże obaczy.

Oho, pomyślałem sobie, widać, że tam u nich często słoty bywają; oni to nazywają psotą, bardzo dowcipnie, bo czyż to nie psota prawdziwa dla podróżnych? Już ja i wprzód

coś o tém słyszałem, że w górach często deszcz pada, ale przecież nie może padać ciągle, a zresztą, cóż tam na deszcz uważać. Na wypadek chłodu, możeby i dobrze było kupić sobie taki serdak wyszywany, jak u tego chłopaka; to wcale niezłe wygląda i musi być bardzo wygodne. Zacząłem się więc rozpytywać, gdzie się serdaki sprzedają i czy drogo kosztują. Dowiedziałem się, że najlepsze i najtańsze w Nowym Targu, miasteczku, przez które się jedzie do Zakopanego. Tymczasem ojciec dobił targu o jeden z najlepszych wozów i skinął na mnie, żebym go także obejrzał. Cóż to za pyszna karoca! Buda podwójna i deszcz w żaden sposób nie zacieknie, siedzenie bardzo wygodne usłane sianem, tylko to bięda, że niema ani stopnia, ani drzwiczek. Jak tam się nasze panie potrafią wygramolić, to już niewiem. Ja, co innego; zaraz na próbę wskoczyłem jednym sussem na kozioł. Paradna będzie jazda; ach żebyż prędeż do jutra.

Powracając do hotelu zacząłem opowiadać ojcu wszystko, co od młodego góralskiego słyszałem o częstych deszczach i chłodzie; wspominałem także i o serdakach, że należałoby o nie zapytać przynajmniej w Nowym Targu, a możeby się i kupiło, jeżeli to nie bardzo drogie i takie pożyteczne w górach. Ojciec na to: — Przypomnisz mi w Nowym Targu.

Ja też z pewnością przypomnę.

Nie zastaliśmy manny w numerze, po chwili jednak nadeszła. Obie z Jadwinią niosły rozmaite sprawunki, a wszystko to na drogę. Znowu zacząłem powtarzać rozmowę swoją z góralskim, sądząc, że wszystkimi zadziwię, ale mama uśmiechnęła się tylko, pokazując mi ciepłe kołdry i szale, które zabrała z sobą, bo wiedziała bardzo dobrze, że w Zakopanem noce szczególnie bywają chłodne, nawet wśród lata. A Jadwisia to już żadnej sposobności nie opuści, żeby sobie nie pożartować ze mnie i z mojej łaciny.

— A więc tam niema o tém w gramatyce łacińskiej, że w górach często padają deszcze i że powietrze na wyżynach jest rzadsze, a tém samém chłodniejsze?

Ba! ona zawsze z tych swoich książek powiadauje się takich rzeczy, o które u nas nawet na egzaminach nie pytają. Dobrze ojciec

kiedys powiedział, że nie dosyć jest nauczyć się tego, co zadano na lekcję, bo to jeszcze nie cała nauka. Ja myślę, że zawsze to najważniejsze, co na lekcję zadane, ale jest oprócz tego mnóstwo ciekawych wiadomości, które można sobie samemu znaleźć w książkach. U nas było nawet o tym w geografii fizycznej, że temperatura obniża się w miarę wzniesienia nad poziom morza; było i o tym, że na wysokich górach, nawet w krajach zwrotnikowych, śnieg leży przez cały rok, a taka wysokość nazywa się linią śnieżną. Ale takie rzeczy, to się tam powtarzało, a nie bardzo się o tym myślało, bo człowiek jeszcze wtenczas nie wybierał się do Zakopanego. I co to do tego ma rzadkie powietrze? i dla czego ono jest rzadsze na górach? Jak to dobrze, że Jadwisia lubi się zawsze wygadać ze wszystkimi, co tylko mądrego wyczyta, bo mnie znów nie bardzo wypada udawać się do niej po objaśnienia w naukowych przedmiotach; jakos to nie ładnie, w każdym razie, żeby panna więcej umiała od porządnego ucznia. Kochana siostrzyczka i tą razą nie czekała na zapytanie, a muszę jej oddać sprawiedliwość, że całą rzecz wyłożyła prawdziwie po profesorsku, zasłużyła też na to, aby wykład ten co do słowa zapisany został w dzienniku ucznia IV klasy.

Atmosfera, czyli powietrzna, mówiła Jadwisia, otacza całą ziemię przezroczystą powłoką; najgęstsza jest u spodu, nad samym poziomem morza, bo ciężkie warstwy powietrza opadają na dół; wyżej zaś powietrze staje się coraz rzadsze i lżejsze. Przyczyna chłodu w tych wyższych warstwach jest następująca: powietrze ma taką własność, że zatrzymuje promienie słoneczne i całe się nimi ogrzewa. Im jednak jest rzadsze, tym mniej ciepła zatrzymać może, a rzadsze jest naturalnie na wysokich górach; tam więc w tych miejscach, gdzie słońce wprost przygrzewa, bywa bardzo gorąco, ale w cieniu zawsze jest chłodniej, toż samo po zachodzie słońca, bo powietrze nie może sobie na dłużej zapasu ciepła zachować. Większa ilość deszczu w górach prawie z tej samej przyczyny pochodzi. Pary wodne, znajdujące się w powietrzu, w tych chłodniejszych warstwach łatwo się oziębiają, a wtedy deszczem spadają na ziemię.

Dobrze to wszystko wiedzieć, jadąc w góryste okolice. Żeby nie rozmowa z górale, byłbym może i nie pomyślał o rozrzedzonym powietrzu i dziwnych jego własnościach. Z tego wszystkiego widzę, że ciepły serdak doprawdy mi się przyda w Zakopanem. Trzeba koniecznie przypomnieć to ojeu w Nowym Targu. Tymczasem idę spać, bo góral ma nas zbudzić jutro raniuteńko, żebyśmy większą część drogi jednego dnia odbyli i pojutrze wcześniej stanęli na miejscu.

III.

Jesteśmy już w Zakopanem! Tuż przed nami wznosi się wspaniały szczyt Gewontu! Jakże tu ślicznie, jak ślicznie! nie mogę się napatrzeć i nacieszyć, a Jadwisia... ale nie, nie jeszcze niepowiem o Zakopanem, bo to byłoby naprawdę nieporządne paplanie, jak się wyraziła panna siostra, która sobie pozwala żartować z mojego dziennika. Otóż muszę jej pokazać, że i ja potrafię porządnie wszystko zapisywać, zacznę więc teraz od samego Krakowa i opowiem, jaką to śliczną drogą jedzie się z tamąd w góry.

Raniuteńko, ze wschodem słońca, przebudził nas hejnał, który zabrzmiał donośnie z wieży kościoła Panny Maryi; góral już czekał przed hotelem z białą swoją karołą, nie tracąc więc czasu, puściliśmy się w drogę. Ja od razu usadowiłem się na kozle, obok wóznicy, Jadwisia mi widocznie zazdrościła, chociaż się do tego nie przyznawała, tylko powtarzała ciągle, że ta brzydka buda zupełnie widok zakrywa. Ale ojciec podniósł płótno z jednej strony, uwiązując je sznurkami i posadził ją z samego brzegu, żeby mogła widzieć wszystko, tak jak i ja. A było co widzieć, oj, było! Zaraz za Krakowem ukazały się góry, a wóz nasz wyraźnie wspinał się coraz wyżej, zostawiając Kraków w dolinie. Ja myślałem, że to już Tatry widać, ale wóznica zaczął się śmiać ze mnie, a ojciec mi wytłumaczył, że góry, ciągnące się od Krakowa po drodze ku Tatrom, są to Bieskidy, których najwyższy szczyt zowie się Babią górą.

— Ale gdzież Karpaty? zawołałem nagle, przypominając sobie, że te góry, znane mi z geografii, gdzieś także w tej stronie oznaczo-

ne są na mapie. Jadwisia się roześmiała, ale nie żartując tą razą z mojej szkolnej nauki, wytłumaczyła mi, że Karpaty, to jest nazwa ogólna całego łańcucha gór, do którego należą Bieskidy i Tatry. Bieskidy mieliśmy tu właśnie przed sobą, Tatry zaś, odosobnione ze wszech stron od reszty Karpat głębokimi dolinami, mieszczą w sobie najwyższe szczyty i ciągną się tylko na ośm mil długości.

— Albo to podobne do naszych Tatrów, mówił góral z pogardliwym uśmiechem, wskazując na śliczne wzgórza, pokryte zielonemi lasami.

— A cóż tam w tych waszych Tatrach może być innego? zapytałem; muszą być trochę wyższe, ale zawsze góry, tak jak każde góry.

— No, no, już oni to sami obaczą, odrzekł woźnica i zamilkł, włożywszy krótką swoją fajeczkę w zęby. Górale na znak uszanowania mówią *oni* zamiast wy.

(d. c. n.)

KALENDARZYK.

W Kozienicach, lichój dziś miłościnie w pobliżu Radomia, otoczonej niegdyś szumiącą odwiecznymi bory puszcza, kędy wznosił się niewielki zameczek, służący za schronienie królom przybywającym na łowy, 1 Stycznia 1467 roku, przyszedł na świat Zygmunt I-szy, syn Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Austryackiej. Miesiąc ten miał upamiętnić się szczególnie w życiu dobrego króla, albowiem w czterdzieści lat potem, w dniu 20 Stycznia, odprawiał uroczysty wjazd do stolicy swój, Krakowa, gdzie następnie 26 Stycznia rozpoczął szczęśliwe panowanie, koronowany w katedrze na Wawelu.

2 Stycznia 1228 roku, papież Grzegorz IX-ty potwierdził w Witerbie przywilej Konrada, księcia Mazowieckiego, nadający na własność zamek Dobrzyń z przyległościami rycerzom zakonnikom, zwanym później *Dobrzyńcami*, albo inaczej po łacinie: *milites Christi de Prussia*, to jest rycerzami Chrystusa, wojującymi przeciw Prusom, z kądem napady pogan trafiły ciężko kraj cały, przemieniając w pustynię najludniejsze okolice.

Dobrzyńcy odpierali je mężnie, tworząc straż pograniczną, nieraz wszakże porażeni, uchościć musieli z pola bitwy.

Władysław Jagiełło 7 Stycznia 1459 roku, przyjmował w Łucku, przybyłego do niego w odwiedziny szwagra, cesarza Zygmunta. Wyjechał naprzeciw niego o milę wraz z Witoldem, w którego saniach siedział z powrotem cesarz, gdy król jechał wraz z cesarżową. Na zjeździe tym Zygmunt namawiał Jagiełłę do wojny przeciw Turkom, od których niedawno doznał porażki w Siedmiogrodzie, gdzie zginął wtedy słynny nasz Zawisza Czarny z Grabowa, nie chcąc ratować się ucieczką, lubo otoczony był przeważną liczbą nieprzyjaciół. Po przemówieniu cesarza, król odrzekł, że nie uchyla się bynajmniej od walki z poganami, nie wprawdzie aż inne ludy europejskie zechcą wziąć w niej udział. Nie zadawalnając się tą obietnicą, jakkolwiek pod pozorem uzyskania jej przybył, chytry Zygmunt poróżnił Jagiełłę z Witoldem, namówiwszy ostatniego, aby żądał dla siebie korony Litewskiej.

(d. c. n.)

A. z Ch. Borkowska.

ANAGRAM.

Z trzech głosek się składam i płynę,
Przerzynam waszę krainę.
Zmieńcie pierwszą—jam wódz tatarski.
Zmieńcie znowu—o! bywam dziarski!
Jeszcze raz zmieńcie, jestem imię własne,
Jeśliście nie zgadły, macie główki ciasne.

Jaskółka.

Zagadnienie naukowe.

Znaleść cztery podobieństwa i cztery różnice pomiędzy ptaszkiem i ziółkiem.

Sprostowanie.—W 1-szym Nrze wkradło się parę omyłek druku. — W artykule o Kraszewskim wszędzie, gdzie jest Dolhe, czytać Dołhe.

Na stron. 9, w szpalcie 2-giej czytaj najprzód 3-ci wiersz od dołu, potem 1-szy u góry i następujące.



Gewont w Tatrach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Декабря 1879 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Zienkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.